Tygodnik literacki

literaturze, sztukom pięknym i krytyce poświęcony.

No. 32. POZNAŃ, DNIA 8. SIERPNIA. **1842.**

Literatura zagraniczna.

Der Geist der mathematischen Analysis und ihr Verhältniß zur Schule
von
Dr. Martin Ohm.

Erste Abhandlung XVI. und 159. S. Berlin 1842.

Prawda matematyczna, ścisłe następstwo wniosków matematycznych, weszły w przysłowie; a jeżli czasem zaciekły filozof na matematyka czystego z urojoną wyższością chce spojrzeć, to i wtedy rozumienie to jego tylko na mniemaną mniejszą bujność treści myślowéj, wiedzy matematycznéj, ściągnąćby się mogło, ścisłéj wnioskowości przecież, poszukiwań i dowodów zarzucić nie mógłby. W rzeczy saméj i tych, co do tajemnic matematyki przeniknąć niezdołali, wypadki téj umiejętności uszanowaniem dla niéj przejąć powinny, kiedy ona codziennemu doświadczeniu przez rozbiór i obrachunek tak pewne zasady buduje, tak pewne objawienia ogłasza. Ale kto z nią się oswoił i w głębsze jéj tajemnice się zacieka, ten, chociaż naturalnie zawsze ufny w ogólną prawdę swéj nauki, przecież w szczegółach tu i ówdzie nieraz natrafi na przypadki, które nie tak się pojawiają, jakby mu się pojawiać powinny; na wyraźne sprzeczności, tak zwane paradoksy, nad których rozwiązaniem często na próżno się męczy, a takie właśnie przypadki dają ważność jeszcze wykładowi metody matematycznéj. Rozwięzywanie takich w ciągu osnowy napotykanych sprzeczności, poszukiwanie, jak one powstać mogły, wykrywanie, jakie fałszywe wyobrażenia albo fałszywe wnioskowania je sprawiły; krótko mówiąc, wykład metody matematycznéj więcéj we wielu względach przynosi korzyści dla istoty téj umiejętności, niżeli rozciąganie jéj obrębu zewnętrznego w nieskończoność. Ta właśnie strona matematyki, dla największéj liczby ludzi nieprzystępna, ten daleki zawód, czyniący jéj pole nieskończoném, nie jest tém, co ją jako umiejętność tak wysoko stawia, tém mniéj, że każda umiejętność, jak już z samego wyobrażenia umiejętności wypływa, zdolną być powinna do wszelkiego urabiania i ukształcania, rozciąganie zaś jéj w jednę tylko stronę, nie jest istotném rozprzestrzenianiem nauki; ale raczéj matematyka tą tak ważną umiejętnością się staje przez czystą formę, przez swą właściwą metodę. W niéj to mieści się treść matematyki, w niéj się zawiera prawdziwy postęp, prawdziwe zgłębianie istoty. Pan Ohm w dziele na wstępie wymienioném, treść swego przeistoczenia dotychczasowéj metody matematycznéj, przez które niedostatecznościom wielu miejsc zaradził, wykłada; a to już jest rękojmią za ważnością dzieła, więc i powodem do zwrócenia na nie ogólnéj uwagi być powinno. Póki matematyka w pierwszych zawierała się elementach, mogła być bardziéj oczywistą niż teraz i wolną od niezrozumiałości lub wcale sprzeczności jakich; obrachunki były proste, łatwe do przejrzenia, a źródło pojawiającéj się jakiéj sprzeczności łatwo było można wykryć. Ale kiedy odkrycie, albo raczéj pojawienie się Rozbioru nieskończoności (analysis infinitorum) nie tylko obręb matematyki w nieskończoność rozprzestrzeniło, ale szczególniéj pochopem się stało do troskliwszego obrabiania i do rozszerzania we wszystkich kierunkach tego, co już dotąd w ogóle znano, kiedy się zaciekać zaczęto w rozwlekłe, trudne, zawiłe rachunki, i przez to jasny wzgląd na ogół z oczu nieraz zagubiono, wtedy pokazały się owe paradoksy, które dla niektórych nieodgadnioną pozostały zagadką i osłabiły ich wiarę w prawdy matematyczne. — Euler szczególniéj czyniąc tak żyzne odkrycia na polu rachunku różniczkowego i całkowego, zwrócił swą uwagę na Rozbiór skończoności, o ile tylko wszelki postęp tego rachunku od rozprzestrze-

nienia wiedzy w owym rozbiorze koniecznie zawisł, a na jego podwalinach budowali daléj matematycy francuzcy, a szczególniéj Lagrange. Ale fundament ten był za słaby, aby budynek wzrosły do olbrzymiéj wysokości na sobie mógł unieść; kupiąc massy materyałów, zapomniano o troskliwém wiązaniu i spajaniu cząstek jednych do drugich, zapomniano ściśle dozierać, aby cząstki jedne drugim odpowiednie były, a wkrótce ukazały się ztąd złe skutki. Najpierwszy prawie wtym względzie Kramp, w swojéj w roku 1799. wydanéj *Analyse des refractions astronomiques et terrestres* (chap. III.) natrafił na formuły, o których sam mówi, iż o ich fałszu przekonanym jest; nie mogąc jednak, pomimo wszelkiéj usilności, odkryć źródła fałszu w ich następném wyrachowaniu, nieco później zatrudnił przez Poissona wykryty fałsz formuł na potęgi wstaw i dostaw trygonometrycznych, które byli obrachowali Euler i Lagrange, wielu utalentowanych matematyków. Wielu przypisywało fałsz ten niejasnym wyobrażeniom ilości urojonych, Kramp uważał za źródło takiéj sprzeczności niedostateczność teoryi potęg i logarytmów, Abel (w liście umieszczonym w wydaniu wszystkich jego dzieł, który także w „Grunerts Archiv" 1841. w zeszycie 1wszym drukowany został) podaje za przyczynę niedokładność rachunku szeregami rozchodnemi. Każdy starał się jak mógł według swego zdania złemu zaradzać, w rozpaczy udawano się do środków wcale przeciwnych, ale i tak nie bardzo pożądane otrzymywano wypadki. Jeżeli zaś obecnie Cauchy odbiera pochwały, jakoby nowy apostoł prawdy, to zasługa jego doprawdy bardziéj jest ujemną, niżeli dodatną, niweczy on bowiem tylko w ogóle to, co się do ściśléj jasności matematycznéj doprowadzić nie daje, ale ciemnych lub sprzecznych pojęć nie rozświeca. Gdyby tylko to miało być matematyką, co Cauchy jako taką ogłasza, gdyby nie wolno było inną postępować drogą, jak tylko tą, którą Cauchy przeznacza, szczegółując wszystko do tego stopnia, iż nic ogółowego pewnieby już nie było, i iż w każdym prawie szczegółowym razie zawsze na nowo wykazywaćby trzeba, iż tak a nie inaczéj rachować należy; trudno wtenczas, iżby się kto matematyki miał chcieć uczyć, iżby się kto miał chcieć onéj oddawać.

W tym to właśnie względzie należy się panu Ohm ważne miejsce w historyi matematyki. Przez wydanie wielu pism umocnił prawdy matematyczne sposobem sobie właściwym i metodę matematyczną tyle ulepszył, iż mało szczegółów wyjąwszy, zdaje się, iż już nic do ulepszenia nie zostaje. Szczególniejszą mają zasługę jego „Rozprawy z pola matematyki wyższéj (Abhandlungen aus dem Gebiet der höhern Mathematik. Berlin 1823.) i dwa pierwsze tomy jego systemu matematyki, którego drugie wydanie wyszło w Berlinie w r. 1828. i 1829. Ale Ohm nie został od razu w swych dążnościach poznanym, tém mniéj, że wybawienia zdala oczekiwano; co więcéj, nie tylko ważności dzieła jego nie uznano, ale owszem oznaczono go w urzędowém sprawozdaniu nazwiskiem „niebezpiecznego nowatora" z powodu rewolucyjnych w umiejętności pomysłów. (Jakiegoż to potrzeba do wietrzenia wprawnego nosa, ile obrażonéj próżności, aby nawet w czysto-matematycznych badaniach coś niebezpiecznego dla polityki chcieć wynajdywać. Prócz takiéj zawady miał pan Ohm i to złego, że matematycy z powołania, rzadko się zatrudniać zwykli czytaniem książek systematycznych, w jakich właśnie Ohm wypadki swych odkryć poskładał; ale raczéj zazwyczaj w krótkich rozprawach w czasopismach nowych odkryć szukać lubią. I toć to właśnie jest powodem do zesławienia w tém tu piśmie jak najkrócéj, a ile możności najtreściwiéj głównych wypadków jego badań, puszczając mimo wszelką materyalność, podane tu tylko być mają wyobrażenia matematyczne, tyczące się powyższych uwag, a to w loicznéj, ściśléj, ile tylko można wyraźnéj zwięzłości.

Podług Ohma wszelkie fałsze w dotychczasowéj matematyce z dwóch głównych błędów wypłynęły: raz z fałszywego pojęcia samego wyobrażenia matematyki, drugi raz z pomieszania ogółowości z szczegółowością. Przedmiotem matematyki są podług niego w rzeczy saméj wielkości (Größen), albo raczéj nie tak one same, jak ich porównywanie między sobą, wynajdywanie ich względnych stósunków. Co jest wielkością (Größe), i na inne podobne zapytania, odpowiadać matematyka niekoniecznie potrzebuje; przyjmuje ona takie wyobrażenia za już zkąd inąd znane. Jéj przedmiotem głównym jest tylko badanie stósunkowości między temi wielkościami; wielkości te są tylko narzędziami jéj działań, tak, że więc też działania, to porównywanie, to łączenie z sobą rozmaitych wielkości, ale nie same wielkości jéj są przedmiotem. Tak też więc równanie nie wyraża wcale zrównania, czyli równości między wielkościami (Größen), ale tylko tosamość wypadku działań. Jest to do razu jasném, kiedy tylko ogólne głoskowe wyrażenia są przedmiotem rachunku, ale tak samo się też rzecz ma co do liczb właściwych, jakiemi są tylko liczby całe i dodatne, mogące jedynie być uważanemi za pewne wielkości, wszelkie bowiem inne prawdziwe, czy urojone, są tylko naznaczonemi działaniami, przecież i

właściwemi liczbami zatrudnia się matematyka nie dla tego, że są wielkościami, ale tylko o tyle *), o ile dają przedmiot względnego działania. Całe to wyobrażenie matematyki z tego względu wzięte, najzbawienniejsze, na zastósowanie na teoryą szeregów. Co się tycze drugiego, odróżnia Pan Ohm jak najściślej równania ogółowe, formowe, od równań szczegółowych, liczbowych. Istotę owych ogółowych równań między ogólnemi wyrazami, tworzą znaki działań, głoski zaś są tylko nośnikami, na których znaki te się zawieszają same przez się; zaś są obojętnemi, zupełnie bez treści, czczemi, nie są ani wielkościami, ani liczbami. Od tych równań ogółowych odróżniają się równania liczbowe przez to, że z nich głoski otrzymały wartość, i że te już na rzeczywiste liczby, prawdziwe lub urojone się zmieniły. Liczbowe te równania są więc tylko zastósowaniami ogółowych równań na szczególne przypadki i wymagają z tego powodu szczególnéj uwagi w zastósowaniu. Rozprawa pierwsza ma za przedmiot tylko ogółowe, formowe równania, jako główną i konieczną zasadę rachunku. Rozprawa druga ma zawierać równania liczbowe, przechody form ogółowych na szczegółowe, liczbowe, a zarazem ma być uzupełnieniem oznaczonych całkówek (integratów).

Pan Ohm podaje we wstępie jako przyczynę pozornych sprzeczności w rachunku okoliczności, które w téjże kolei przejdziemy. Pierwszą jest jednostronne pojęcie wyobrażenia, t. j. pojęcia jako przejścia z dodatności w ujemność. Wychodząc z takiego wyobrażenia, mówi się zwyczajnie, iż $\frac{1}{0}$ wyraża nieskończoną ogromność. Ale nie zważając na to, że wyobrażenie nieskończonéj ogromności do rozbioru ilości skończonych wcale nie należy, i że wreszcie w geometryi $\frac{1}{0}$ nie zawsze nieskończoność wyraża, to nawet wyobrażenie owo jest fałszywe. Zero to również wyrazić może przejście z prawdziwości w urojoność, a nawet z jednéj urojoności w drugą. Prawe wyobrażenie zera, jakie Pan Ohm wystawia, doprowadza raczéj do tego wniosku, że formy takie jak $\frac{1}{0}$, logo, w rachunku miejsca mieć nie mogą, a jeżeli na oznaczone wartości liczbowe ogółowych wyrazów wypadną, oznaczać tylko mają, że w takich szczególnych razach rachunek na nowo na innéj drodze rozpoczęty być powinien. Nierównie ważniejsza jest *druga* okoliczność, niedostateczne ocenianie własności wyrazów kilko- albo nieskończenie wielo-znacznych. Wiadomą jest rzeczą, że pierwiastki są wyrazami kilko-znacznemi, albo raczéj kilko-postaciowemi, i więc w każdym szczególnym razie dobrze uważać należy, która wartość, która postać pierwiastka w obecnym razie wziętą być powinna, a zwłaszcza kiedy w jedném równaniu kilka jest pierwiastków, troskliwie badać należy, które ich postacie do siebie należą, a które odrzucone być powinny. Niezachowanie téj ostrożności było źródłem wszystkich owych fałszywych wypadków, jakie otrzymał Lagrange w XI. rozd. z swych „*leçons sur le calcul de fonctions*." Gdy badania takie trudne są, tém bardziéj, że w tym

*) Nadmienić tu należy, że oddanie własnych myśli Pana Ohma głównym tu jest zamiarem, że przecież oddanie to w polskim języku dla niezupełnéj odpowiedności wyrazów, często jest bardzo trudnem. Chełpić się możemy, że chociaż przez niechęć naszych przodków do pracy i dozwolony ztąd napływ cudzoziemców, w różne rzemiosła, rękodzieła i nauki tak wiele wyrazów obcych się nawdzierało, przecież język nasz bogaty jest w wyrazy własne, malujące rzecz jak najtreściwiéj, owszem zwykle daleko treściwiéj niż wyrazy w innych językach. Myśl ta rozwiniętąby być mogła na długą rozprawę, a odkopywanie zagubionych takich wyrazów jak z jednéj strony mozolne, tak z drugiéj zbogaciłoby napowrót w tym względzie nasz język, a możeby i inne błogie przyniosło korzyści. Nie zaciekając się tu zbytnie, przytacza się na myśl czytelnikom Tygodnika dla przykładu teorya równoodległych (Nro. 2, 3, 4, 1842. tego pisma), gdzie cała nowa, a jak się zdaje, dotąd najlepsza teorya równoodległych, o których tak już wiele pisano, z saméj ich nazwy wyprowadzić się dała. I tu Pan Ohm przeciw dotychczasowéj matematyce lub matematykom występując, w saméj rzeczy raczéj przeciw wyrazowi Größe występuje. Starożytni całą tę naukę, którą teraz matematyką zowiemy, w swojéj geometryi zawierali, i dziś téż wielu ageometrów źle matematykę z geometryą miesza, nie wiedząc, że matematyka ogólną jest umiejętnością, w któréj geometrya jako część się mieści. Starożytnym to przystało, jestto bowiem kolebkowość umiejętności téj, kiedy z rozmiaru ziemi po wylewach Nilu z wszelkich ograniczeń ogołacanéj, naukę ziemiomierniczą, późniéj, dopiero na matematykę wzrosłą, utworzyli byli. Ztąd téż jeszcze u Rzymian ciasne wyobrażenie, ale geometryi odpowiednie, quantitas, z którego wypłynęły quantité, Quantität, a nawet Größe; ostatni wyraz różnie używany, ale zawsze na przedmiot matematyki w ogólném znaczeniu za ciasny. W teraźniejszym stanie matematyki, gdzie nie taka Größe, wielkość, w pojedyńczości, ale raczéj wielkości, Größen, w mnogości, albo jak Pan Ohm się wyraża w porównywaniu, w stósunkowości się pojawiają i pojawiać powinny, wyraz ten nie może być wystarczającym, ale wystarcza nasz wyraz *ilość*, wyrażający, ile czegoś *jest*, lub być ma przez wypadek z porównywania, z téj stósunkowości. Z tego powodu zdanie niemieckie: „und auch mit den wirklichen Zahlen beschäftigt sich die Mathematik nicht sofern sie Größen sind, sondern nur sofern mit ihnen operirt wird," mniéj wiernie, ale równie co do głównéj treści tak oddaćby można, a i temi liczbami właściwemi nie zatrudnia się matematyka, nie (dla tego, iżby były wielkościami, ale dla tego, że są ilościami. Pan Ohm pisząc po polsku, nie potrzebowałby zbijać tego rozumienia ze znaczenia wypływającego, wyrazu wielkość, Größe, ale mógłby tylko napominać do dobrego rozumienia wyrazu ilość, Wie viel hier? tak jak znaczenie samo rozumieć go każe!

Ohm nic przygotowanego nie znalazł, tém większą Ohm ma zasługę; ile, że daje zasady tyczące się należności do siebie form każdych dwóch takich kilkopostaciowych wyrazów, ile że daje formuły na kilkopostaciowe potęgi z wykładnikami niewymiernemi lub urojonemi, na logarytmy i na łuki, formuły, które nie tylko prostują formuły dawniejsze, ale które zarazem wyjaśniają, ile i jakie formy wzięte być mogą. Przytém Pan Ohm ma jak największy wzgląd na to, iżby wszelkie równania, jakich używa, były istotnemi równaniami, to jest, iżby strona lewa bezwarunkowo za prawą lub przeciwnie postawione być mogły, nie zaś, iżby, jak często się zdarza, tylko takie były równania, gdzie strona jedna tylko pewny przypadek lub pewne przypadki drugiéj strony przedstawia.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Literatura krajowa.

POEZYA.

DO MOJÉJ PIEŚNI.

Czemuż ty mi tak palisz pierś i serce moje,
O moja piosnko cicha! w niebiosach poczęta,
Nikomu nie znajoma, w méj piersi zamknięta?
Czy ty ją chcesz przepalić, chcesz z niéj wylać zdroje
Spienione i gorące uczuć, skarg i wrażeń,
Pamiątek, i nadziei, i życzeń, i marzeń?

Do kogożbym cię śpiewał, o piosnko! Do ludzi?
Czy do słońca, chmur, nieba, i wiatru, i burzy?
Czy do małéj ptaszyny, co wschód słońca budzi?
Czy do rzek, zdrojów, gajów, kwiatka polnéj róży?

Komuż cię śpiewać? Mamże cię śpiewać dla ludzi?
— O nie! ludzie nie przyjmą ciebie moja pieśni!
Z zapleśniałéj, nieczułéj, brudnéj ducha cieśni,
Powiedzą mi: zamilknij! taka pieśń nas nudzi!

Ludziom dogodzić trudno, trudno dla śpiewaka;
Spotwarzą i wyszydzą smutne jego pienia!
Oni chcą, aby piosnka jego była taka,
Jakie zimna wesołość wysnuwa marzenia.

Ale jak trudno ogień z błotną wodą złączyć,
Jak ducha niepodobno w martwe ciało zwrócić,
Tak i mnie niepodobno *ich* marzenia nucić,
Tak i mnie nie podobno z memi się rozłączyć.

Komuż cię śpiewać? Może ptaszkowi na polu?
— Ptaszek, szczęśliwy, wolny, nie ma słuchać czasu,
Skarg smętnych o nieszczęściu, niedoli i bolu,
Wesół z piosenką w dzióbku uleci do lasu.

Mamże wodom zburzonym, spienionéj nawale,
Burzy ryczącéj śpiewać, wichrom rozhukanym?
— O cicha piosnko! burza potężnym organem
Gromu zagłuszy ciebie; wściekłe morza fale

Pochwycą ciebie silnie w wilgotne ramiona,
Zniszczą, zaleją, wtłoczą do czarnéj otchłani.
A wiatr zwycięzki gwiżdżąc przy morza przystani,
Zagładzi na powierzchni nawet twe znamiona!

Niema cię komu śpiewać! wszystko cię ucieka,
Nawet róży twarzyczce milsza pogadanka
Przy dnia schyłku drobnego słowika kochanka,
Niż tęskne, jednotonne melodye człowieka.

O ja chciałbym, o pieśni! cię głosem skowronka,
Głosem słowika posłać gdzieś w górę wysoko.
Wysoko po nad przestrzeń, do nieba, do słonka,
Gdzie ucho nie zasięgnie, gdzie nie dojrzy oko!

Aleś biedna! za słaba, za cicha, za mała!
Nimbyś zdołała sięgnąć do nieba i słońca
I zanimbyś dobiegła do błękitów końca:
Rozchwiałabyś się, przebrzmiała.

I pamiątkaby tylko została po tobie
Nieszczęśliwemu piewcy, co niezrozumiany
To tylkoby pamiętał: że obcy, nieznany,
Samotny, obumarły stanie przy swym grobie,
Że próżno kiedyś śpiewał, że *nigdy* nie wrócisz,
Nigdy w lodowéj piersi czucia nie ocucisz!

Święta pieśni, w niebieskiéj poczęta krainie,
Pozostań w mojéj piersi, choć ogień pierś spali!
Szczęśliwy, komu czucie w sercu się ocali,
Chociaż sam . . . . zginie!

Dnia 6. Lipca 1841.

M.

Karykatury historyczne,

udzielone redakcyi przez J. J. Kraszewskiego.

Albertus.

Część trzecia.

Albertus znowu klechą.

(Dokończenie.)

„A już ja i sam widzę,“ jęczał Konfederat, „że lepszy karany; tylkoż mnie puszczajcie!“

„Nie, nie puszczać go! *Beatus qui tenet.* Połóżcie no go,“ mówił Mistrz, „Kantorze ze dzwonnikiem, a dajcie mu cięgi, żeby popamiętał.“ Na te słowa ruszył się i gospodarz w kąt po cepy.

„Niechże i ja mu za moje stacye półtora kija przyłożę.“ Ale nim cepy przyniósł, jęła go hamować żona:

„Dla Boga, mój gębusiu, dajże pokój. Żakom się nic nie stanie, a tobie pewny piskorz; jużci go dzwonnik zabiera się ochmalić. Im to ujdzie, a nas oni żołdacy gotowi spalić. Daj pokój gębusiu.“

I Kantor popchnąwszy chłopa z cepami, rzekł: „Idź ty sobie z cepami, damy my mu rady; idź umłóć co, żebyś nam dał w biesagi; my ci go za to dobrze oprawim.“

A Konfederat szamotał się wołając: „A moi mili, długoż to tak będziecie mnie poniewierać? Na cóż ze mnie zdzieracie suknie, czy to podobna?“

„Pleciesz,“ odpowiedział dzwonnik, „my cię nie obdzieramy, tylko chcemy dać naukę.“

„Taką krzywdę mnie wyrządzać.“

„Po kiego licha,“ przerwał dzwonnik, „my gadamy; bić, to bić;“ i zamierzył się kijem, gdy wtém hałas się zrobił. Wpadł nagle do izby Albertus w kuséj katance, ów klecha, żołnierz. Ujrzawszy ów żołnierza w ręku zapamiętałych klechów, jął ich ogniście hamować. Srodze go ubodło to upokorzenie wojaka, bo i on nim był, a jakim jeszcze!!“

„Hamujcie się dla Boga!“ krzyknął podskakując. „Szanujcie żołnierza, to jakiś człek znaczny, zasłużony, jakich dziś mało w koronie. Ja go znam, to człek herbownego domu! *Per Deum vivum* nie róbcież tego.“

A Mistrz mu na to: „Na twoje tylko prośby Alberte damy się nakłonić; wierzym, że to zacny człowiek, aleśmy myśleli, że trafiamy na desperata jakiego i chcieliśmy mu rybałtowską sztukę wyprawić.“

Konfederat korzystając z tego, wychwycił się z ich rąk i poskoczył ku Albertusowi. „Albertus! zbawca mój, czy nie żołnierz?“

„A żołnierz Mości panie! Wiadomo światu, jakem na ostatniéj wyprawie pod owym hetmanem na swoim koniu służył. Wie wojsko jak mężnie, pomnisz może i WPan, zwłaszcza ów strój, wktórym mnie X. Pleban wyprawił na wojnę. Nie pomnisz? Był podemną koń stary, tęgo stary, ciemno-chudy, pół zbroi, ociep siana, krupy w torbie na łęku, szpérka i przyłbica, kopja złamana i rusznica bez krzosu. Miałem i kijce za pasem i miecz zardzewiały. Dziwowałoż mi się wszystkie rycerstwo! A w takim stroju nie było nikogo w całym taborze!“

Konfederat czule pochwycił go za rękę i odpowiedział przychodząc do siebie:

„Już to gadajcie co chcecie, a zaraz znać żołnierza! Wierzaj mi cny Alberte, gdybyś ty tu wprzód był, nigdybyśmy się byli z twymi kompany tak nie powadzili. Ale jakże ty radzisz? pojednać się z nimi? Wszczęła się sprzeczka od wybierania stacyj; sam wiesz, że żołnierz ciągnąc, nie może sam wszystkiego płacić groszem; żeby był najtroskliwszy o swoje sumienie, musi czasem i zdobyczy skosztować. Mamyć my naszą płacę na królewszczyznach, a nie mamy czasem skubnąć? Cóżby to było? a toćbyśmy wyszli po błazeńsku.“

Albertus wszakże trochę już zmieniwszy sposób myślenia względem stacyj, odpowiedział szukając wąsa po twarzy:

„Ależ bo to i na wasze stacye to ciężko ludzie płaczą i klną was, a tysiące djabłów i na nią szlą i na was, nim oddadzą. Dla Boga! czas się bracia upamiętać, że żołnierz nie dla jednéj płacy, ale i dla sławy służy także. Radziby was już wszyscy pozbyć z kraju, modli się duchowieństwo za swoje dobra odarte, wszyscy Pana Boga proszą, żebyście poszli precz. Byłem i ja na tym chlebie, ale mi ksiądz pleban łatwo wytłumaczył, że łzami ludzkiemi polany, nie dobry. Wolę już teraz w szkole wycierać plecami pod piecem nalepę, niż ludziom biednym chleb z gęby wydzierać.“

Zdziwił się tą mową Konfederat, a choć wcale innéj myśli, udawał, że się przekonywa, i mruczał po cichu.

„Wartoby o tém towarzystwu w kole powiedzieć; już téż słyszę i uniwersały poszły, aby stacyj z województw nie brano.“

Zaczém brali się do szkoły Albertus i Mistrz, którego zatrzymał nasz klecha.

„Czekajcie, a przeproście wprzód jegomości, niech wam urazę daruje. Wy zaś Kantorze i dzwonniku ściśnijcie za nogi, żeby się na was nie mścił po jednemu. JMość zaś prosi was, żebyście o tém nikomu nie gadali, co tutaj było.“ — Poczęli się zatém ściskać i całować, oddano Konfederatowi szablę, aż on obłapiwszy Alberta, rzekł:

„Pamiętajcież o nas Alberte.“

„Raczéj wy o mnie; a powiedzcie Marszałkowi, że jeśli zechce przyjąć mnie w służbę, a stacyi damy pokój, to jeszcze jest u mnie rynsztunek; poszedłbym na żołnierkę.“

„Na mą cnotę Alberte, pewnie cię zalecę.“

Zaczém chyłkiem się wybrał Konfederat, i dosiadłszy konia pod Bożą męką, drapnął w pole do swoich. A gospodarz jął dziękować Mistrzowi za ratunek i kazał podać Kantorowi biesagi, w które wsypał miskę grochu, drugą krup, które gdzieś w dołku przed żołnierzami skryte były. „Nie darmo,“ mówił, „trzy lata myszy chowały zboże pod ziemią; oznajmowały one, że i nam tak czynić przyjdzie.“

„No, no, dajcie już pokój narzekaniu. Ten już wię-

céj do was nieprzyjedzie, a jakby przyszedł drugi, dawaj znać, to my ci znów usłużym.“

Rzekł zatem gospodarz: „Idźcie zBogiem!“ Wyszli i został tylko dziad z babą; dał i im gospodarz po gomółce, żeby się modlili, aby P. Bóg od żołnierzy i stacyj ich uwolnił. A gospodyni szepnęła:

„A wiecież babko, czego nam by potrzeba?“

„Może wam trzeba chatę od złego okurzyć?“ I tuż zaraz odjęła garnczek od pasa, nasypała żaru, poczęła kurzyć, i siadłszy na ożogu, latać, śpiewając i wrzeszcząc z kąta w kąt. Aż tu zpod strzechy wyrwał się ku niéj djabeł; ona do niego, on na nią; i tak ją porwał do piekła. A tak się skończyła rybałtowska komedya.

Omelno 1839.

J. J. Kraszewski.

Małgorzata z Żębocina.

Powieść historyczna.

(Dalszy ciąg.)

Białogłowom nuda, choć ich mężowie nie przyuczyli do boków swych, bo oni jeszcze więcéj siodło chodowali, niż żony swe; ale i chwila skradziona od konia milsza im była, i dwułożne sypianie za szerokie im teraz bez Panów w dworcu; a przez siedmioro lat tak się rozprzestrzeniło, że białogłowom nie wyleżeć do rana, tyle tam nakładły myśli i rozmów, na drugie łoże. A na początku myślały o tém wiele przez lat dwa, schodziły się ku sobie, ale o tém nie gadały; a po czterech latach myślały więcéj, schodziły się ku sobie i poczęły gwarzyć; a po sześciu leciech myślały z odkazowaniem na mężów, schodziły się i otoć są u Owada żony.

Najśmielsza też między niemi Owadowa żona, bo krewka i młoda, bo roczkiem ino przed owém bieganiem na Ruś została niewiastą w zawitce. Szyjąc tedy czecheł swój, oczyma gęsto na podłogę zbiegła, i tam jéj oczy jakoby w Białéj-wodzie tonęły. Oj czemu tak. Bo te modre oczy, kiedy sama była, już dosyć a dosyć nalatały się w komorze, z łoża na wiązanie ściany, ze ścian na brzozę w krzyż, z krzyża na fórtę złotą, a dwoje drzwi; a wszystko to jéj pana Owady; o nim gadała, a serce jéj piszczy jako źrebiec w stajaniu. Zrachowała szpary w dębowéj podłodze, falowanie łyka brzozowego na sękach, Jana niema, a serce jéj piszczy jak mokra gałąź w ogniu. Nastała się okiem w oku dworca, że mało nieprzyrosła tam. Na zielonym boru chciała już białych nici zimowych; — doczekała nici, to chciała, by słońce z nieba przylepiło zielone zawitki drzewu na głowę; i drzewo się zawiło zielono, a pana męża niema. Czemu tak? Bo Owada Jan wziął z sobą słońce swe, Bolesława króla; dopóki on świecił na ruskiéj ziemicy, Owadzie niema żony, wiosny; niema żony, dworca, śniegu, liści. Owadę grzeje kord, Owadzie śmieje się koń, Owadzie każda godzina wryta jak słup. Jak wioskę spali, to przejdzie dzień; jak wroga zwali, to mknie godzina. Jak krzyknie król, to rok wybija. A kiedy w końcu Rohatyna ruska zwodziba bok i krew wypija, to mu tam wreszcie porachują bracia, po bitwach, po wioskach, po bliznach na piersi, wiele żył lat.

Więc Swatochnie oczy tonęły w podłogę i coś tam zawidziała, schyliła głowę niżéj i usłyszała głos z ziemi głęboko, z ciemnicy. To ruszył kajdanami Węgier, jeniec. Szparko pobiegła oczyma do ócz Helżbiety, już i Helgunda sprzęgła z niemi swe siwe gałki. Wszystko troje posłyszały Węgrowy ruch, ale jedna Swatochna podjęła myśl z tego ruchu, myśl bezbożną, w któréj Węgier czy Owada, jeniec czy Pan, wszystko jéj jedno było, byle był ktoś, coby jéj rojenie zgadł, coby na drugiém łożu spał. I słowem, wzbudziła myśl taką samę w obu Supanowych żonach: „W ę g i e r by m ą ż.“ Ta myśl tak łacno sunęła im w głowy, jak chłopięciu ujrzeć źrebca i wyciągnąć ku niemu dłoń. Zamilkły przez mgnienie oczu, a każda z ich twarzy przemówiła tą myślą. Helżbiety się czoło zwadziło z brwiami marszczką, jak woda kiedy na niéj łabędź. U Helgundy siwki oczy zapatrzały w krzyż dwóch szabli; a u téj, co pierwsza słowo nie z Bogiem wyrzekła, czerwieniec wybrnął na lica zapuchły, odęty, jakby po nim róża być miała. Ten sprosny głos urodził się bez koleby, a oto trzy matrony podawały łono swe za kolebę mu; a dopust boży tak ich sprzęgał ku téj pokusie, tak gnał ich chęci i ogniem tlił, że każda czuła, ile jéj żyłek drga, ile tam weszło krwi, bo każda kropla szła ciurką aż do pięt.

A u Supanowych żon jeszcze nie było pytać o moc religii, walczącą w przekor złemu całą siłą przyszłości zbawienia, piekła i kar; malućkie wyobrażenie ich bożków: Poświstów, Poslarków, Poklus, jeszcze zawadzały na w pół wielkiéj Jezusa Chrystusa figurze, a choć już w drewnianym obszernym kościele za dzwonkiem do Chrześcian schodziły kaplicy, to przecież wracając z pacierzy do dworców, w bzowém zadrzewiu skowyczał im Puschajta, bóg, i każdy głos, który do nich natura posłała, ich babek językiem grzmiał. Dla tego myśl Swatochy nie miała hamulca, bo całą ich

wiarą był dotychczas strach; a strach ten daleko odbieżał z mężami aże w Kijowie.

Jak na wrzeciono len, jak igła w czecheł, tak pomysł Swatochny dzierzgnął im w głowę, i lubo zaczepnie tkał wszystkie obrazy sprośnego czynu; i tak się roiło, jakby myśl czynem była. Splecione, to rozrzucone ramię; zacięte, to wyskakujące za wąsem usta; oczy szkłem, oczy w słup; podchwytywany oddech, to całą piersią rzucon, aż gęgnął w drugim gardle tego, co męża grał. Włos olenderska nić, włos sznur, w inną spleciony pierś; przepaśnica zamknięta aż poza biodra; założka aż po za piersi, zawitka po za czoło i po za czoło wstyd. Hej! na opas Supanowe żony. Owada Jan na śniegu, Owadowa żona w pościeli; nuże w tany. I u niéj niema dnia, i u niéj niema lat; odszukała swe słońce, Węgier słońce; póki nie zmruży ócz, to jéj dzień; póki nie skusi ust, to jéj godzina; póki nie krzyknie mąż, to jéj rok. Supanowa żona nie żałoby, ino tę, iże tyle lat sypiała wązko w łożu, gdy było do tyle miejsce.

Nie pada płatek śniegu sam, ale tuż za nim dwa i drugie dwa, aże się wiąże duży kłąb; im daléj polecą, tém więcéj ułowią; tém nasiąkną sporzéj, tém rozdmuchną szerzéj: a każda ma taki dworzec, a w każdym dworcu to Węgrzyn jeniec, to pacholę Lach. Drzazga jest iskra jéj, a płomień będzie. A jako ich głowy wyjrzała jedna myśl zła, tak teraz wygląda i druga, i rzecze Helgundy głosem: „Jeżelić już z mężów w polu kość, to nie wróci kość; a gdy Bóg nie da tak, wracając utną w kopyta; kopyt można podsłuchać, łoże czysto flamskiém obrócić płótnem, a jeńca zamknąć na wiek; i będzie cicho.“

Do dworców swych rozbiegły się matrony; przed deszczem rój, ale nie z miodem do dworców, bo każda niosła w ustach krzyk, ta Węgra, ta Lacha wołając. To już nie za mężem Panem żałoba, bo już nie przy ścianie samotny płacz, bo już nie przy wieczorni pacierz; ale to niedźwiedzicy ryk, kiedy bartnika kusi.

(*Ciąg dalszy nastąpi.*)

ROZBIÓR KRYTYCZNY
HISTORYI LITERATURY POLSKIÉJ
przez
M. Wiszniewskiego.

3 tomy. Kraków 1840—1841.

(*Dalszy ciąg.*)

Trzeba i na to zwracać uwagę, że Gallus zaraz na początku dziełka swego oświadcza: „iż głównym jego zamiarem było, 1) opisać dzieje Bolesława III, i że tylko nawiasem chce też podać *niektóre* wiadomości o dziejach Polski przed Bolesławem III. Dla tego popuszczał kilka, nawet *chwały godnych* wypadków, jako i niepomyślnych, albo takowe tylko lekko dotyka, nagle ucina; bo obszérniéj rozpisywać się o Polsce przed-Krzywoustowéj wcale nie zamyślał. 2) Niesłusznie utrzymuje autor na str. 48: że Gallus *obsypany łaskami* Bolesława Krzywoustego;“ bo w samém dziele Gallusa o takowéj wiadomości najmniejszego niémasz śladu. — Na str. 49 powiada auotr jak następuje: „*Gallus*, którego kronikę posiadamy, *był na dworze* Bolesława Krzywoustego (sic), najdłużéj do r. 1139, w którym Bolesław umarł. *Odbył pielgrzymkę do Jerozolimy* (sic) *może* z Henrykiem, bratem Bolesława Kędzierzawego, i Jaxą *Gryfem* (sic!) *Zdaje* „*się*, iż przed r. 1118 należał *podobno* do zakonu „reguły Ś. Augustyna (sic); *może* też dwakroć, raz „przed r. 1118, drugi raz przed 1162 odbył pielgrzym-

1) Martinus Gallus ed. Vars. p. 12: „de cujus (t. j. Bolesława III) gestis scribere, jam tempus est insistere. Tenże na str. 13.: „Opere precium duximus, *quasdam* res gestas polonicorum principum gracia cujusdam gloriosissimi ducis ac victoriosissimi, nomine Bolezlavi (III) stilo puerili pocius exarare, quam ex toto posterorum memorie nihil notabile reservare.“ — Tamże na str. 17: „Est autem intencio nostra de Polonia et duce principaliter Bolezlao (III) describere, ejusque gracia, quedam gesta predecessorum digna memorie recitare.“

2) Et cum multa et magnifica vobis (t. j. episcopis, którym przypisał dzieło) gesta degentibus *pretermittam*, quedam tantum suggerere subsequentium posteriorum memorie non dimittam.“ p. 6. — „Hoc autem tantillum dixisse de bellis ejus (Chrobrego) sufficiat, quatenus ejus mente recordatio ab auditoribus imitata proficiat.“ p. 61. „Sed de Meschone (II) sileamus, et ad Kazimirum restauratorem Polonie descendamus.“ p. 85 — „His igitur Kazimiri gestis memorialibus prelibatis, aliisque compluribus *sub silencio* pre festinacione reservatis“ p. 98. — „Non est igitur dignum, probitatem multimodam et liberalitatem Bolezlaui secundi, regis silencio preterire, sed pauca de multis in exemplum regni gubernatoribus aperire“ p. 100. — „Qualiter autem rex Bolezlauus de Polonia sit eiectus, longum exissit enarrare“ p. 109. i t. d.

„kę do ziemi Ś.“ (sic) Jaxa herbu *Gryf* (sic), „z któ„rym *mógł* się znać na dworze Bolesława Krzywo„ustego, przywiózł go z Jerozolimy r. 1162 (sic.) „*Mia*„*ło* się u Miechowitów zachować podanie, że Marcin „Gallus, pisarz kroniki polskiéj, był piérwszym ich „przełożonym 85) (sic).“ Na dowód kładziono zachowany w Miechowie starożytny jego kroniki rękopism, z którego Lengnich piérwszy raz Gallusa był wydrukował.“ W przypisku 85tym na str. 50 czytamy: „In pervetustae basilicae Miechoviensis sacrosancti dominici sepulchri instaurationem. Alexii Solecki, Canonici Regularis Hierosolymitani Carmen. Crac. 1791. 4°. Te wiersze elegiackie ozdobione są przypiskami historycznémi, z których piérwszy takiego jest brzmienia: „Pierwszy miechowski kościół stanął r. 1160 staraniem „Marcina Galla, kanonika jerozolimskiego,“ pod którego imieniem mamy dzieje polskie pisane, których rękopism z biblioteki miechowskiéj przez Grabowskiego, biskupa warmińskiego, wzięty do biblioteki heilsberskiéj, przez tegoż biskupa do druku był podany.“ Nakielski w dziele: „De Antiquitate Ordinis Canon. Cust. Sepulchri“ p. 169, 173 powiada, że Martinus primus, praepositus Miechoviensis, umarł r. 1198, a przybył do Polski roku 1165; gdy przeciwnie w jego kronice znajdujemy, iż r. 1130 (sic) pisał księgę trzecią. Gallusów więc było wielu w Polsce, i „nie„masz żadnego podobieństwa do prawdy, żeby Gallus „ten, którego mamy przed sobą kronikę, był piérwszym „przełożonym Miechowitów.“ Gdyby Marcin Gallus był pisał kronikę, Nakielski piszący r. 1620: „De Antiquitate, byłby zapewne téj okoliczności i tego podania nie opuścił. Podanie dopiéro r. 1791 wypisane, może być późniejszém zmyśleniem; a na str. 58: „...dla tego, że pochodził (t. j. kodeks heilsberski) z Miechowa, *gdzie podobno Gallus był przełożonym.*“ Zastanówmy się nieco nad tém, com tu przytoczył. — Zkąd się autor dowiedział, iż Gallus „był kapelanem na dworze Bolesława Krzywoustego,“ tego dociec dotychczas niemógłem; bo w dziele Gallusa wzmianki o tém niémasz. Może autora nakłoniły do tego domysłu słowa Gallusa: „Capellanis ducalibus venerandis,“ odzywa się tu Gallus do duchownych książęcych i innych księży w Polsce będących. Wątpię, by wspomniane słowa były dostateczną pobudką do ogłoszenia go kapellanem nadwornym Bolesława III. — „Odbył pielgrzymkę do Jerozolimy i t. d.“ Sam Gallus do takiéj podróży nie przyznaje się nigdzie. Autor, ile mi wiadomo, piérwszy posłał Gallusa do ziemi ś., nie powiedziawszy, co go powiodło do takowego mniemania. Więc zkąd ten domysł? Dorozumiewam się, że ta wiadomość następującym sposobem wyszła z pod pióra autorskiego. — Wyczytał autor w dziele Nakielskiego: De Antiquitate Ordinis Canon. Cust. Sepulchri etc. Crac. 1625, 4°, na str. 136: „Narrant enim Jaxám Hierosolymam venisse anno D. 1162, biennio vero post — in Poloniam redijsse, et unum de Collegio Canonicorum sancti Sepulchri, Martinum nomine (quod etiam Dlugossus in libro [niedrukowanym] de Monasterijs per Dioecesim Cracoviensem constitutis a se elaborato indicat) veluti sempiternum pignus suae erga Dominum Sepulchrum devotionis adduxisse affirmat Anno Domini 1165.“ — i na str. 169 i 170: „Martinum primum, ut dictum est, Praepositum Miechoviensem quem ex Hierosolymitano Collegio in Poloniam per Jaxam adductum et a Gedeone Episcopo Crac. institutum Dlugossus meminit 3).“ Pisze także autor, idąc za świadectwem Sołeckiego, że „miało się u Miechowitów zachować podanie, że Marcin Gallus, pisarz kroniki polskiéj, był pierwszym ich przełożonym,“ a chociaż w przypisku 85tym słusznie wyrzekł, iż „niémasz żadnego podobieństwa do prawdy, żeby Gallus ten, którego mamy przed sobą kronikę, był pierwszym przełożonym Miechowitów,“ jednakże na str. 52 znowu powiada, „że Gallus podobno był przełożonym (w Miechowie).“ — Ztąd widać, iż autor przełożeństwo Gallusowe nie poczytał za zupełnie zmyślone.

(*Dalszy ciąg nastąpi.*)

---

3) Sądząc podług cytacyi Wincentego Bandtkiego, wydawcy kroniki Gallusowéj, Nakielski w dziele: „Miechovia sive promptuarium antiquitatum monasterii Miechoviensis Crac. 1634,“ nazwał pierwszego opata miechowskiego Marcinem Gallusem; pisze bowiem Bandtkie na str. XX: „imo Martini Galli, primi praepositi Miechoviensis etc.,“ przytaczając wspomniane dzieło pag. 63. 65. Nie mając tegoż dzieła pod ręką, niewiem, czy się rzecz w istocie tak ma.

TYGODNIK LITERACKI wychodzi co tydzień w poniedziałek. Prenumerata, wynosząca półrocznie 2 Talary, przyjmuje się po wszystkich królewskich pocztamtach i księgarniach krajowych i zagranicznych.

Redaktor: *A. Woykowski.* Czcionkami *E. Günthera* w Lesznie.